NUMER 10 i 11. DNIA 25. MARCA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Kilka dni wolności.

(W 60 rocznicę krwawych wypadków.)

Z pośrodka lat chmurnych, najchmurniejszy w dziejach naszych rok 1846 jedyną miał tylko zorzę, co błysła nad Krakowem i zgasła w potoku krwi i straszliwego nieszczęścia. Powstanie Krakowa, który ogłosił się Rzeczpospolitą polską i podobnie jak Rzym ongi chciał się stać matką wolności wszystkich dzierżaw polskich i Polski ludowej — to powstanie tak słabe militarnie, a tak bardzo szeroko zakrojone, lud cały polski do oręża wiodące, skończyło się po kilku dniach krwawą procesją na Podgórze nie mniej krwawem a stokroć straszniejszem bankructwem zawcześnie rozkołysanych nadziei.

Rycina nasza przedstawia właśnie procesję na Podgórze i śmierć Dembowskiego, a więc ostatni akt tego ponurego dramatu, który kilkoma dniami wolności błysnął nad Krakowem. Jest to jedna z nielicznych a prawie zupełnie nieznanych pamiątek owej chwili. Ze zbiorów polskich posiada ją, zdaje się, tylko biblioteka ks. Czartoryskich w Krakowie i zbiór hr. Branickich w Suchej. Dzięki też uprzejmości biblioteka-



PROCESJA NA PODGÓRZE 27. LUTEGO 1846.

(Według współczesnego sztychu ze zbiorów hr. Branickich w Suchej.) Reprodukowano umyślnie dla „Tygodnia“.

rza z Suchej p. M. Żmigrodzkiego, jesteśmy w możności podać czytelnikom „Tygodnia“ reprodukcję tego, w Paryżu w r. 1846 wydanego, sztychu, na którym widnieje, także zupełnie nieznany, portret samegoż Edwarda Dembowskiego.

Obok tej ryciny, również niesłychanie rzadki medal z napisem ,,Smutne wspomnienie bitwy pod Gdowem 26. lutego 1846“, niemniej rzadka litografja, przedstawiająca mogiłę poległych w tej bitwie, a wreszcie sześć numerów ,,Dziennika rządowego Rzeczypospolitej polskiej“ oto jedyne, obok historycznych opracowań, wspomnienie kilku dni, poprzedzających zajęcie Krakowa przez Austrję w r. 1846.

Rozgrywające się równocześnie w tarnowskiem, bocheńskiem, jasielskiem ponure wypadki ,,rzezi galicyjskiej“ przytłoczyły czas wolności i słońca swobody od 19. do 28. lutego 1846 roku całą chmurą nieszczęścia. Dzisiaj rok 1846 jest synonimem czarnej karty dziejów naszych, a mało kto już pomni na te zdarzenia, które rozbrzmiały równocześnie w murach Krakowa i zabłysły ostatnim, smutnym cieniem niezależności i wolności.

U stóp do snu ukołysanej przez trzy „rządy opiekuńcze“ Rzeczypospolitej krakowskiej wrzało nowe życie, gotujące wybuch zbrojnego powstania. Idea uwłaszczenia włościan, zniesienia pańszczyzny, usamodzielnienia i uobywatelenia ludu wiejskiego była gwiazdą przewodnią ludzi, którzy stanęli na czele ruchu, a nurtujące po społeczeństwach europejskich prądy i teorje dodawały jej barw skrajnie radykalnych, z pewnym odcieniem komunizmu nawet.

Przestrach ogarnął senat Rzeczypospolitej krakowskiej, a wynikiem jego był gwałt międzynarodowy t. j. okupacja Krakowa przez austrjackiego generała Collina w dniu 18. lutego. Odpowiedziano na ten gwałt przedwczesnym i nieobliczonym wybuchem powstania, zawodnego, nie opartego na szerokich masach, a raczej z jednostkowych usiłowań emisarjuszów emigracyjnych wynikłego. Tchórzliwy, wszelkie znamiona panicznej ucieczki posiadający odwrót jen. Collina na Podgórze a stamtąd jeszcze dalej, aż za Wieliczkę dał hasło ogłoszenia Rzeczypospolitej Polskiej i Rządu narodowego, złożonego z Ludwika Gorzkowskiego, Jana Tyssowskiego i Aleksandra Grzegorzewskiego. Za środek do zdobycia niepodległości wskazali oni ,,poruszenie ludu przez zniesienie przywilejów i nadanie bezwzględnej własności ziemi, dotąd przez włościan tylko warunkowo posiadanej“. Dalszy odwrót gen. Collina rozniecił tak wielkie nadzieje w Krakowie, że Rząd narodowy, chcąc tem skuteczniej poprzeć sprawę, złożył swą władzę w ręce Tyssowskieg ogłaszając go dyktatorem.

Odtąd przez kilka dni Kraków wraz z okręgien pławił się w słońcu wolności i swobody. Po kościołach brzmiały pienia dziękczynne, organizacj wojskowa i cywilna postępowała raźno i ochocz a w dniu 24. lutego rozpoczął wychodzić pod redakcją Antoniego Tessarczyka ,,Dziennik rządow Rzeczypospolitej Polskiej.“ Sześć numerów wszystkiego wyszło ,,Dziennika rządowego“ ale i w tyc zdołano pomieścić wiele artykułów pióra Walereg Kalinki, Edwarda Dembowskiego i innych, owianych duchem skrajnie demokratycznym i taką miłością ludu, na jaką zdobyć się tylko mogła współczesna emigracja, razem z Towarzystwem demokratycznem.

Za Krakowem poszła Wieliczka. Ale równocześnie z ogłoszeniem manifestu o uwłaszczeni włościan rozpoczęły się objawy kontrrewolucji chłopskiej. Nie chciano po prostu wierzyć manifestow a przeciwko jego głosicielom przybrano w wiel miejscowościach tak groźną postawę, że los całe rewolucji nie ulegał już najmniejszej wątpliwości Wyprawa powstańców do Gdowa skończyła si ,,zwycięstwem“ generała Benedeka, odniesionem prz pomocy rozjuszonego chłopstwa, potem zajęcien Wieliczki napowrót przez wojska austrjackie, a wreszcie katastrofą t. j. ową słynną ,,procesją n Podgórze“, prowadzoną przez Edwarda Dembowskiego.

Kto był ów Dembowski? Potomek kasztelanów a równocześnie najskrajniejszy demokrata. La 30 liczył zaledwie, gdy go kula dosięgła austrjacka ale pracą swego krótkiego żywota zapisał się w dziejach rewolucji polskiej na zawsze. „Niski i szczupł blondynek o bladej i ści głej twarzy kobiecej z długim włosem a małym zarostem“ — niezwykl utalentowany pisarz i mówca, dwoił się i troił w agitacyjnej pracy nad ludem polskim, któremu w pań szczyźniane życie niósł wielkie hasła Polski demokratycznej i ludowej. Sam stary Lelewel i Centralizacja Tow. demokratycznego w Wersalu patrzała z podziwem na młodzieńca i jego dążenie do wskrzeszenia demokratycznej Polski zapomocą wzburzeni najszerszych warstw społeczeństwa.

Od roku 1845 prowadził Edward Dembowsk wspólnie z Heltmanem robotę konspiracyjną w Galicji i rozwinął w tym kierunku niesłychaną energię Przebierał się za kobietę, księdza, chłopa, żyda lub Węgra, sprzedającego płótno i tak przebiegał wzdłuż i wszerz Galicję zachodnią, zwołując zgromadzenia i zawiązując komitety, a gdzie tylko zawitał, zosta-

wiał po sobie bujny posiew dla dalszych prac organizacyjnych. O nim to napisał w r. 1848 Wincenty Pol prześliczny wierszyk p. t. „Emisarjusz“ kończący się słowami:

„Znacie człowieka, co zaparł siebie
„Co dla ojczyzny, braci, wolności,
„Przebiegł pół świata o suchym chlebie...

Na teren rewolucji krakowskiej przybył Dembowski prosto ze Lwowa i objął natychmiast urząd sekretarza przy dyktatorze. W tym też charakterze chwycił się ostatecznego, jak mniemał, środka dla ratowania powstania i poprowadził procesję na Podgórze.

Przebieg tej procesji, znany z opracowań i wspomnień historycznych, dowodzi, że była ona odruchowym aktem rozpaczy przeciwko chłopstwu, dla poskromienia i nawrócenia go na drogę narodowego obowiązku. W dniu 27 lutego o godz. 3 pop. zgromadziły się za inicjatywą Dembowskiego w kościele Marjackim tłumy publiczności, a mając na czele przeszło 40 księży i zakonników, ruszyły w drogę. Na czele postępował sam Dembowski, ubrany w sukmanę chłopską, w krakusce na głowie, przy pałaszu, z pistoletami za pasem i z krzyżem w ręce. Procesja zostawała pod osłoną 20 strzelców i tyluż kosynierów.

W pobliżu cmentarza podgórskiego rozegrał się ostatni akt krwawego dramatu. Na procesję spadły z dwu stron naraz oddziały wojska austrjackiego dowodzone przez gen Collina. Padł sam Dembowbowski i 28 osób, schwytano 32 księży, pomiędzy którymi 3 ciężko rannych i przeszło 100osób różnego stanu i wieku.

W trzy dni później nastąpiło zajęcie Krakowa przez oddziały wojsk austrjackich i rosyjskich, powstańcy zaś z dyktatorem Tyssowskim na czele wyszli do Prus.

Fr. J.

WŁADYSŁAW ORKAN.

Wspomnienia.

Mogiłom moim na wchłonienie
Chodźcie mojego serca drogie dzieci —
Żal pogrzebny zawiedzie was w mroczyste sienie,
Pamięć wam próchnem bólu dalej w głąb po-
[świeci...
Będzie was z ukochaniem wchłaniał piasek
[grzązki,
Nigdy nie ujrzy słońce waszych białych kości —
I ja, zawarłszy nowe, rozumowe związki,
Zapomnę może całkiem, żem was miał — z mi-
[łości...

O, że was muszę sam w te groby rzucić!
Nie patrzcie tak — ten wzrok wasz światło we
[mnie dusi,
Wiedzcie, pół życia dałbym, by was wrócić...
Darmo. Postanowione we mnie. Tak być musi.

Nim was pożegnam...chciałbym was prosić o jedno:
Nie płaczcie wy mi tam w głębi — w mogiłach —
Miejcie litość, przez pamięć, nad duszą mą biedną,
Gdy los tak srogo dzwoni na jej siłach..

Przetrwa ona swą stalą młoty najsroższej ręki,
I wszelkie burze nic wobec jej burz nie znaczą —
Ale jej hart gotów się stopić w ogniu męki,
Gdy wichr przyniesie wieść: „mogiły płaczą!“

FELIKS GWIŻDŻ.

Podcięty Dąb.

Moment dramatyczny w 1 odsłonie.

OSOBY:

GNAT	KASPER
GNATOWA	MARTA
JASIEK	STRYŁA, służbista.

Dzieje się na Podhalu.

(Radosny poranek niedzielny. Jesienne słonko — zda się — przybaczyło se najlepsze czasy: wiosnę upojną. Kurzem światła wpada do tzw. czarnej izby GNATÓW i oświetla zakopcone ściany, posiwiałą nalepę, pólkę (o star świeckich przyozdobach), przeharny łyżnik, ławę, stołki i wreszcie „zjeżdżoną“ podłogę. Podstarzałe okienka mienią się cudem barw. Jedyna uciecha, jaką mają).

(Z czarnej izby widno na wprost: drzwi, które już wiodą do białej...)

(W izbie są na razie jeno: GNAT i jego żona, ano... GNATOWA. oboje w pięćdziesiątych już latach. Lecą roki, aj! lecą.....)

GNAT: Niechajże śpi, niech śpi. Niechaj sie wyśpi za całe swoje trzyletnie umęczenie.

GNATOWA: Ładnie by było, gdyby sie zebrał za wczasu, wymył, wyczyścił i poszedł do kościoła.

Słoneczny dzień, luda moc — niechżeby sie napatrzyli wysłużonemu wojakowi.

GNAT: Napatrzą mu sie dość. Jeszcze im sie przyje, jak sie ożeni i rozgazduje.

GNATOWA: E! zawsześ go rozleniwiał.

GNAT: Rozleniwiał, rozleniwiał! Kiedyż on tu był taki leniwy? Kiedyż to miał czas być leniwym? Od dwunastego roku pomagał w polu — dziwno mi, że wyrósł na takiego dęba!

GNATOWA (*dumnie*): Bo on też i dąb, nie chłop — istny dąb!

GNAT: Ale jeden...

GNATOWA: Hano... wola boska... Zszedł drugi ze świata w wiosennym rozkwicie sił. Wola boska...

GNAT: Ha! pono nie czyja inna...

GNATOWA: Ale — dojrzałeś też wczora, jak mu sie oczy śklą?

GNAT: Strudzony.

GNATOWA: Ręce mu drżały, chwiał sie, kieby nim wiatr kolebał...

GNAT: Może sie napił — nie dziwota...

GNATOWA: A kiedy gadał, to mi sie zdawało, że... — zebym ino w złą godzine nie rzekła — ale zdawało mi sie, że sie jąka... Tak mu jakosi słowa leciały wartko, bez przedziałek, niewyraźnie, raptem urywał, przymykał oczy... i... eee... bo to mi sie może ino tak przezdało...

GNAT: Zawsze najdziesz cosi, żeby ino gadać po próżnicy. Zjadło go to wojsko, bo zjadło, to prawda: zeszczuplał, wybladł, ale jak ino weźmie siekiere w garść a pójdzie w las ścinać, to on hań wnet odżyje... Jakiż hań wrócił i ten z pod Żeleźnicy, no.. Jelenia syn, ten, co w szkołach — a jaki pojechał... Żeby sie zakopiańskie suchotniki zwiedziały o zdrowocie naszej wsi, wnet by my ich tu mieli... Hoho! widziałabyś — byłoby tu gorsze piekło od prawdziwego.

GNATOWA: Ty też gadasz, jak jaki odmieniec.

GNAT: Odmieniec nie odmieniec, a powietrze trza szanować. Hoho! mojaś ty!..

GNATOWA (*otwiera cichcem drzwi od białej izby i zaziera do jej wnętrza*)

GNAT (*zniżonym głosem*): Śpi?

GNATOWA (*otwiera drzwi całkiem i staje w progu*): Ooo! wstałeś nareście! Adyć już słonko na trzech setnych chłopów poszło w góre, a ty leżysz i leżysz... Wychlastajże sie, biedaku, w zimnej wodzie, tam... masz konewke, zbier sie do reśty i przychodź do śniadania.

JASIEK (*niewidziany*): Nad ranem dopiero zasnęło mi sie troche...

GNATOWA: Zbieraj sie, zbieraj!

GNAT: A warciutko! (*Z znaczącym coś uśmiechem*). Za chwile przyjdą cie tu witać... Jużmy hań! posłali Stryłe.

GNATOWA: Przyjdzie Marta, Kasper, może i matka...

(*I Gnat podchodzi ku drzwiom*).

GNAT: Anibyś sie spodział, jak tu Marta labiedziła za tobą. Nie było święta ani niedzieli, żeby nie wpadła do nas, a nie spytała sie, czyś ta co nie napisał...

GNATOWA (*z żalem*): A tyś milczał, jak kamień.

GNAT: Pewnie mu było dobrze przy wojsku, to też i zabaczył o nas.

JASIEK (*z goryczą*): O dobrze, dobrze mi było...

GNAT: Toż to już dwa roki, jak cie nie było w chałupie. Inni ta i na święta zazierali do swoich, urlopy dostawali, a ty, jakeś raz zajrzał w pierwszym roku służby, zaprzepaściłeś sie kasi...

GNATOWA: Ludziom nie było co odpowiedzieć, kie sie pytali — co z tobą słychać?

GNAT (*żartem*): Już my tu myśleli, że cie zamurowali kany.

GNATOWIE (*odchodzą od drzwi, bowiem wchodzi*):

JASIEK (*ubrany w piękny, zakopiański strój, w serdaku, bez kabata, za to w bielusiej koszuli. — Jest blady, stąpa nieco chwiejnie, w mowie tedy owedy ucina nagle, to znów wartkim potokiem słów — zwłaszcza później, wybucha*). Lepiejby zrobili...

GNATOWIE (*przyglądają mu się uważnie*).

GNATOWA: Oo! Cie go! Co mi za jeden! (*Uderza go przyjaźnie w kark*).

JASIEK: Dejcie spokój.

GNAT: Dejże mu spokój, bo mu kark złamiesz. (*Uradowany powiedzeniem przechadza się po senatorsku*). Chłop, jak smok, ale ty, gnido, możesz mu kark złamać.

JASIEK (*do ojca*): No i co wam przyjdzie z tego próżnego gadania?

GNAT: O?

GNATOWA: Ładnie zaczynasz. Ledwoś wrócił...

JASIEK: Ładnie Myślicie, że mi sie chce żarty stroić.

GNAT: Dyć cie tu nikt do tego nie zmusza — nie! Nie bój sie. Siadaj, bier łyżke i jedz! Nawet sie nie obezwię do ciebie.

GNATOWA: Trza może zaczekać na Stryłe.

GNAT: On tu wróci lada chwila...

(*W milczeniu siadają wszyscy na niskich stołkach koło długiej ławy, na której stoi misa z jadłem. Żegnają się nabożnie — i jedzą*).

JASIEK (*podnosi kilka razy łyżkę do ust, lecz wnet ją odkłada*): Nie mogę...

GNATOWA: E, jedz-że.

GNAT (*zirytowany*): No widzicie... Nie smakuje ci, czy co? Dyć wiesz, że nic innego tu niema do jedzenia. Nie bedziesz tu pił kawy abo harbaty, nie bedziesz ogryzał kości. U nas tak: kapusta, grule, mleko, kluski — kluski, mleko, grule i kapusta...

GNATOWA: Dziękować Bogu i za to. Nie jadamy żadnego mięsa, a chłopy tu silne, jak buki. (*Patrzy na Jaśka*). Ładnie ci w tym w stroju...

GNAT: Ba! Dyć mu sie kupiło nie belejaki...

GNATOWA: Wyszycia i cyfrowania bardzo udatne.

GNAT: Pitoń sprawiał...

JASIEK (*bezwolnie*): Taak...

GNATOWA: Jasiu...

JASIEK (*patrzy na matkę*).

GNAT: Jedzcież, nie wydziwiajcie.

JASIEK: Dobrze mi, kiedy patrzę na was, matko.

GNATOWA: Takiś blady.

GNAT (*rzuca łyżkę — i zrywa się wściekły*): Przy świętej niedzieli jeść nie wolno!...

JASIEK: Nie róbcież piekła...

GNAT: To — cóż zaczynacie wyprawiać jakiesi smętki, które ino drażnią człeka?!

JASIEK: Nie bedę już, nie bedę...

(*Wchodzi Stryła. Jest to sietniak, ubrany podle, ot! służbista...*)

STRYŁA: Idą!

GNAT (*do żony*): Sprzątnij.

GNATOWA (*krząta się, podmiata z lekka, porządzi i ładzi*).

GNAT (*do Jaśka*): Przywitajże sie zaś należnie z Kasprami. (*Do Stryły*). Wszyscy idą?

STRYŁA: Nie — ino krzesny ociec i Marta. Krzesna matka pośli już w kościół.

GNATOWA: Pewnieście głodni? Jedzcież. (*Sadowi go nad miską na ławie pod półką*).

(*A oto wchodzą i Kasper i Marta. Kasper odziany w odświętny strój, gazda pewnie z pięćdziesięcioletni. Marta, jego córka, młoda, piękna i rosła, o płowych, dużych włosach, o cicho-błękitnych, jasnych oczach*).

KASPER i MARTA: Pochwalony Jezus Chrystus!

KASPER: Jak sie ta miewasz Jasiu?

JASIEK (*jakby bez woli podchodzi do Kaspra i niemrawie całuje go w rękę*).

KASPER: Cożeś ty taki osowiały?

JASIEK: A tak ta...

MARTA: Z drogi dalekiej wraca... toż to i zmęczony, a my go zaraz nachodzimy...

JASIEK: O z dalekiej drogi, z dalekiej...

MARTA (*patrzy miłośnie w oczy Jaśka*).

JASIEK (*podaje jej rękę*).

GNAT: My to powinni przyjść do was pierwsi.

GNATOWA: Ale wiemy, że między nami nie stoją paragrafy...

KASPER: Hoho! Od maleńkości sie znamy... Radość tam, ka niema paragrafów i przepisów. Człowiek tem lepszy i piękniejszy, im więcej ma swobody.

JASIEK: Prawdę powiadacie, mocną prawdę...

KASPER: No bo tak jest. A ja — wiecie — tom i paragrafy i przepisy umiał wziąć jakoś pod siebie, tak, że niby nic mnie już nie gniecie. Ale trza było i na to czasu, no i utrapienia. A teraz mi dziwnie dobrze, jasno, pogodnie.

STRYŁA (*dławiąc się jadłem*): Dziwaki... O czem zaś bedą gadać...

GNATOWA: Nie pojmuję was.

KASPER: Żeby coś pojąć, trza to przeżyć do dna. Wam było dobrze, dobrze wam jest i źle wam — zdaje się — nigdy nie będzie

GNAT: Ej! moiściewy... Rozmaicie ta bywało, rozmaicie...

KASPER: Zadanie już kończycie: jedynak, bo jedynakiem Jaś od dwu lat, od śmierzci Franka, za wolą boską żeni sie z moją dziewką..... A ja, prócz niej, mam jeszcze troje do zaprawienia w prawdziwe życie. Ale to nic... Wiecie, com przeszedł, jakie udręki... ten pożar... opuszczenie... Niezadługo trza bedzie już ten świat żegnać, a ja witam go co rano radośnie. Dziwne są sprawy życia. (*W zadumie.*) To jedno najbardziej mię raduje, że Jasiek bierze Martę... Chłop bujny, wyrozumiały i rozumny, to jedno mnie cieszy...

STRYŁA: Oho! Bedzie wesele...

KASPER (*do Jaśka*): Boś sie przecie nie odmienił?

JASIEK: Aaa... tak... nie...

GNAT: Zdrożony wielce.

GNATOWA: Jakiesi manibry mieli okrutne i to go tak obszarpało z sił...

KASPER: Zbiedniał...

GNATOWA (*ze łzami*): I przybladł... Wygląda, jak pamiątko jakie delikatne...

GNAT: Ja nie wiem, co to jest... dyć tu inni wracają od wojska mocniejsi nawet, niż przed służbą, mądrości naprzywożą, że sie oganiać trza przed niemi, żeby zaś człek nie zwarjował, a ten, jak przyjechał, tak siedzi i siedzi, milczy i milczy, jak to drzewo podcięte...

GNATOWA: I troskam sie o niego i dogadzam mu: nic i nic...

MARTA: Jasiek...

GNAT: Cosi go zmogło...

GNATOWA: Jasiu...

JASIEK: Tak mi sie myśli rozlazły... Nie mogę pojąć, o czem gadacie...

GNAT (*z widocznym przelękiem*): Jakto?!...

JASIEK: Słyszę... granie trąbki... stukot bębna... „Zug marsch...! Links um — — Kehrt euch! — — eins — zwei, eins — zwei, - eins — zwei, — — — nieder!..." Kałuża śmierdzącego błota piszczy podemną...

WSZYSCY (*z widocznie wzrastającą trwogą słuchają jego słów, nie pojmując, co znaczą*).

JASIEK: I znowu pali słońce... Krew śmierdzi... „Eins — zwei — eins — zwei — — nieder!... — — auf...!" Nie mogę wstać... nie chcę, bo nie mogę...

KASPER: Chory...

GNATOWA: Jasiu!

JASIEK: I znowu: „Marsz..." (*Kołysze się, jakby szedł w „glidzie"...*)

(*Śpiewa oddalonym, dalekim głosem, żołnierską śpiewkę:*)

„A któż bedzie trawę kosił,
Jak ja bedę szable nosił — —
Trawo, trawo zielona!..."

(*Wybucha płaczem*)

Czemużeście mnie nie ratowali od tej męki?

MARTA: Jasiek...

GNAT: Jakoż my cie mieli ratować? Franek żył jeszcze, kie cie zabrali, a potem jużem se nie umiał radzić... Wzięło sie Stryłe do pomocy... Dyć wiesz, że sie tu w niczem nie przelewa.

GNATOWA: A chcesz co zrobić z rządem, to płać. Tu niema na to.

GNAT: Dyć bym se wyrwał serce, kieby cie to uzdrowiło!

JASIEK: Cicho już — cicho — —!

GNATOWA: Choryś? Ręce ci sie trzęsą... Takiś blady... Jasiu — cóż ci to?

JASIEK: Nic — nic.

GNAT: Cóż my ci tu poradzimy, kiedy nie wiemy, czego ci brak?

JASIEK: Nic — nic... Niech bedzie cicho, nic więcej - cicho niech bedzie...

KASPER: Może mu wódka dospomoże?

JASIEK (*prędko*): Dajcie...

GNATOWA (*idzie ku półce*).

KASPER: To przejdzie. To tak wiecie, jak i z trawą. Skoszą ją kosiarze, a ona odrośnie... odżyje... Jesienią zazieleni się miekką, pachnącą otawą... To przejdzie...

GNATOWA (*podaje Jaśkowi kieliszek wódki*).

JASIEK (*pije łakomie*): Aaa!...

GNAT (*do Kaspra*): A możebyście sie i wy napili?

KASPER: Ale!... Bóg zapłać!...

GNAT (*do żony*): Przystrój ino w białej izbie... (*do Kaspra*): Chodźcie dalej...

KASPER: Dejcież spokój...

GNATOWA: Pójdźcie, pójdźcie...

GNAT: Niech ta na chwile pozostanie sam... z Martą... Może mu sie zlepszy...

GNATOWA (*wchodzi do białej izby — Gnat zabiera Kaspra. — Zostają ino Jasiek, Marta i drzemiący już na ławce Stryła*).

(*Milczenie*)

MARTA: Aniś sie nie przywitał ze mną należycie...

(*Milczenie*)

MARTA: Cóż ci się to stało — — Jasiu...

JASIEK: Nic... To może najgorsze, że nic mi sie nie stało...

MARTA: Nie pojmuję cie...

JASIEK: Sam mało sie pojmuję...

MARTA: A cóż sie z nami stanie? Takem cie oczekiwała...

JASIEK: Żal mi cie.

MARTA: Chadzałeś do mnie w każdą noc, całowałam cie po uściech, jak świętość jaką...

JASIEK: Minęło, minęło...

MARTA: O świcie odchodziłeś odemnie, a ja podchodziłam do okienka i jeszcze patrzałam, jako idziesz miedzami, po srebrzystej rosie... Słonko wzeszło, a ja stałam jeszcze przy okienku i patrzałam za tobą... Na wirchu, na zakręcie drogi, błyszczałeś w słońcu jak cud...

JASIEK: Nie wspominaj...

MARTA: Wieś leżała w śnie, a tyś jej śpiewał miłosne godzinki...

JASIEK (*surowo*): Marto...

MARTA: Ja wiem, ja wiem, że ci gorżko słuchać — — opuściłeś mnie, zwąchałeś sie z inną...

JASIEK: Posądź-że mnie choć o jaką mądrzejszą historję...

MARTA: To czemu nie chcesz mnie teraz? czemu? Przez trzy roki czekałam na cię, jak głodny a wierny pies na swojego gazdę, przez trzy roki dumałam ino o tobie i ckniłam za tobą — — płakałam, modliłam sie, czekałam, kiedy wrócisz — i wróciłeś nareszcie — nie mój... nie mój... A jakożeś to mówił do mnie w ostatnie noce przed odejściem? Jako? O miłowaniu naszem szła gwara z wsi do wsi, na weselach śpiewki już o nas śpiewali...

JASIEK: Marta... ej! Marta... Nie pojmiesz ty, nie, co sie ze mną stało... Bo to tak, jakby sie nic nie stało, a przecież czuję, że sie stało cosi... Widzisz, ja ci powiem, tobie jednej powiem, żebyś mie do-

brze pojęła, nie miała do mnie żałości... Ty wiesz, czemu mnie rada widzisz; mawiałaś o tem nieraz, mawiałaś, żem inny od ludzi, żem dobrego, pogodnego serca... Ale to przeszło... Byłem silny, młody, śmiały, — krew grała we mnie — i byłem cichy, osamotniały, a przecież rad z tej samotności...

Poszedłem w wojsko... (*Pauza. Nagle otrząsa się, jakby z przykrego snu*). E!... straciłem wszystko — o! tyle sie stało! Straciłem wolę, śmiałość, pogodę, młodość, słyszysz? — starucha ze mnie zrobili!... Ukradli mi młodość — przemaszerowali ją — przemanibrowali — i przebębnili!... Młodość moją!

MARTA: Jasiu...

JASIEK: Obdarli mnie z wszystkiego a nie dali nic — wegnali mie w gnój miasta i zaduchem kazali oddychać... Buntowałem sie — nadarmo; przerobili mnie na popychadło i robiłem już potem wszystko, co mi kazali, bezwolnie i prawie bezwiednie... I kiedym wczoraj wszedł do wsi — raptem odczułem to wszystko, zdjął mnie wybladły strach, nogi sie zgięły podemną... Cóż ja teraz pocznę? Co pocznę? Gazdostwo nudne, wieś pusta, miasto wstrętne, ty... ty... no i cóż ty? Nic...

MARTA: To nieprawda.

JASIEK: Widzisz, tego mi nie ukradli — tej jednej rzeczy: żalu po tobie... Rad cie widzę — i dlatego mi cie żal...

MARTA: Przytulę cię, przygarnę do siebie — i odżyjesz...

JASIEK: Ale już nie będę, czem byłem i czem mogłem być... nigdy nie będę... Podcięli mnie, jak drzewo, skosili we mnie wszystkie uczucia... I poco im to? Na co?

MARTA: Ale i podcięte drzewa zakwitają nieraz i łąki skoszone zielenią się miekką otawą...

JASIEK: Dobrze to powiedział twój ociec. Ino nie dostrzegł, że otawa rozrasta się w jesiennem słońcu, że jeśli jej znowu nie skoszą, to zgnije w plucie jesiennej, zwarzy ją mróz... zima przylegnie i spali... a wiosna tak daleka... daleka...

MARTA: Ale przecież jest.

JASIEK: Nie dla człowieka, nie dla mnie. Kiedy tak spojrzę w jutro, w pojutrze i dalej, kiedy dostrzegę siebie, istnego kalikę, któremu sie nic nie chce, niczego nie pragnie, wszystko mu jedno. . aaa!..

MARTA: Obudzę w tobie wolę i wszystko, co chcesz.

JASIEK: Daremnie. Marta — — ja już widziałem takich, jak ja — i śmiałem sie z nich. Nie wierzyłem, że można z człeka zrobić żywego trupa. Już w wojsku stawali sie takimi. Mogłaś strzelać koło niego — on stał i patrzał w jedno miejsce. A byli i tacy, co pili, śpiewali, z dziewkami sie włóczyli, choroby znosili, byli i tacy... Tych pono serce najbardziej bolało...

MARTA: No — ale czemuż, dlaczego?

JASIEK: Tam już takie powietrze. Tam człek nie należy do siebie, ino do... do wszystkich innych, ino nie do siebie. Kopną cie w serce, to musisz salutować za to, chcesz płakać, każą ci sie śmiać — i tak powoli, powoli roznoszą cie kawałkami, rozdrabniają, niszczą, aż gdy sie staniesz niczem, całkiem niczem, wtedy — — no — wtedy służba sie kończy... Jest sie żołnierzem wysłużonym...

MARTA: Eee... gadasz takie pięć po piętnaście... To przecie nie stoi na zawadzie naszemu ożenkowi.

JASIEK: Marta — teraz ci powiem prawdę: jestem już wysłużonym nie ino w wojsku, ale i w życiu. Za prędko sie to stało, ale sie stało... Rozebrali mnie, jak niopotrzebny, stary dom...

MARTA: Nie — nie — nie! Ja cie nie pojmuję... nie rozumiem — to wszystko nieprawda!

JASIEK: Sądź sprawę, jak ci ją sądzić najdogodniej.

MARTA: Jasiek... ty wiesz, że ja ino o tobie...

JASIEK: Sam chcę być — sam...

MARTA: Tak rośniesz w moich oczach...

JASIEK: Sam... Człek powinien dawać szczęście drugiemu — a ja nie mogę...

MARTA: Szczęściem mi jesteś...

JASIEK: Widzisz: na spalenisku trza budować dom z nowego drzewa... a ja tego drzewa właśnie nie mam. Ty — ba! nikt mi go nie da... Takie drzewo, na taki dom trza mieć w sobie... Ja myślałem, dużo myślałem o tem...

MARTA: Jasiek, a jak ja pójdę za innego...

JASIEK (*po zastanowieniu*): Ino idź za godnego — żeby cie nie poniewierał, nie poniewierał — Marta — —

MARTA: Tyś jeden taki...

JASIEK: Nie wierz w to — — ludzie są dobrzy, ino trza ich szukać... Ludzie są dobrzy, ino głupio żyją i niszczą się wzajem... Żal mi cie — —

STRYŁA (*przebudziwszy się z drzemki nad niewdzięczną miską*): Głuptak...

MARTA (*obejmuje Jaśka, darzy go pocałunkami wiosennymi, całuje jego kędzierzawe, miękkie włosy, potem wybladłe czoło, oczy, ach! te płaczące, ciche oczy, lica — — i te usta, te dziwnie smutne usta...*) No — no... mój — no...

STRYŁA: Nareście...

JASIEK (*jakże go męczą te zbyt żywe, brutalne pocałunki*): Męczysz sie...

MARTA: Całą mnie masz, całą — rób ze mną, co chcesz... Lecę ci w ramiona szerokie, na twarde piersi... Bierz mnie — całuj — kop!...

JASIEK: Ech!...

MARTA: Gardzisz?

JASIEK: Gdybym mógł...

MARTA (*z krzykiem i płaczem*) Pogardził mną!...

STRYŁA: Pieklarze...

(*Otwierają się drzwi od białej izby — wchodzi Kasper, za nim Gnatowie*).

KASPER (*z kieliszkiem w ręku*): No, Jasiu — twoje, twoje zdro... Co wyście tu porobili?

GNATOWA: Jasiu — twoje zdrowie piją...

JASIEK (*jakby nie słyszał...*)

GNAT (*wściekły*): Słyszałeś?!

(*Milczenie. Kasper podchodzi do Marty, która tłumi gorzkie łzy.*)

GNATOWA (*przy Jaśku*): Trzęsie sie cały... Upiłeś sie, czy co? Oczy, jak szkło...

GNAT (*stoi bezradny*).

JASIEK: Przy wojsku...
„A któż bedzie trawe kosił?“...

KASPER (*pojmuje... Blednie — kieliszek wypada mu z ręki*): Psia krew!...

Lwów 1906.

KAROL NOTZ.

Dźwinogród.

Na moczarowatej równinie pod Lwowem, powiat Bóbrka, oddzielającej dział wód rzek Dniestru i Buga, u stóp pagórków, po większej części słabo zalesionych, rozsiadła się dziś wielka wieś, rozrzucona długim szeregiem chat koło zwalisk starego zamczyska.

Bogatą jest literatura Dźwinogrodu — toczy się bowiem po dziś dzień spór, czy tu się mieścił jeden z ważniejszych centrów politycznego życia ruskich kniaziów, walka, w której po jednej stronie stoją ruscy i rosyjscy historycy, jak Nadeżdzin, Niewolin a za nimi Hruszewski, Szaraniewicz i Zubrzycki, broniąc podlwowskiej wioski, z drugiej strony polscy i rosyjscy, jak Karamzyn, Arcybaszow i Pohodin oraz Baliński i Lipiński a także i Lam („Dzien. pol.“ z r. 1887), którzy wykazują, że stolicą księstwa dźwinogrodzkiego był Dźwinogród nad Dniestrem. Szczególniej silne są przekonywania Lama; z talentem i znajomością rzeczy napisany szkic „Starożytny Dźwinogród i Różne Pole“ zachwiały teorją Zubrzyckiego, Ilnickiego itd. a ta niepewność trwa aż do dziś, jakkolwiek rozjaśnił ją w znacznej mierze profesor Hruszewski broszurą pt. „Звенигород галицкий“, oparłszy się na archeologicznym materjale.

A miał go podostatkiem. Dziwne są bowiem drogi Boże. Jak skarb michałkowski, do dziś dnia niewyczerpane źródło naukowe, zawdzięcza swe odkrycie — biednemu nauczycielowi wiejskiemu, jak mogiłę na „Kobylance“ własnemi rękoma dwaj miejscowi nauczyciele wygrzebali i uratowali od zupełnego zatarcia śladów, gdzie spoczęły kości naszych bohaterów — tak i postawienie jasno dowodu, że ten podlwowski Dźwinogród a nie inny jest starem miastem kniaziów — należy przypisać wytrwałości i poczuciu obowiązku także nauczyciela ludowego a obecnego kierownika szkoły p. Mykiełyty.

Ogromną ofiarnością własną, płacąc dzieciom za przynoszone znalezione różne wykopaliska, własnym trudem i pracą zgromadził obfity ich zbiór, który posłużył prof. Hruszewskiemu w jego cennej pracy.

Nie można też nie podnieść poszukiwań, robionych przez prof. Hruszewskiego i ś. p. Szaraniewicza, oraz księdza tamtejszego Bilinkiewicza.

Wykopaliska te odnoszą się do różnych epok, dotyczą czasów przedhistorycznych i są z kamienia, bronzu, srebra, szkła; z czasów chrześcijańskich są trzy pieczątki, znalezione przez p. Mykiełytę w ogrodzie szkolnym, przez służącą, kopiącą na wiosnę, a to:

pierwsza — pieczęć kijowskiego metropolity Konstantyna z greckim napisem z jednej strony, z drugiej zaś obraz M. B., z XI. stulecia i dwie z XII. stulecia.

Dalej kamienne krzyżyki, enkolpiony, przedmioty z bronzu, kafle, czerepiane ułamki itd. Prócz tych, w ostatnich czasach znaleziono niektóre rzeczy, nieopisane jeszcze, a które są w posiadaniu p. Mykiełyty, a to:

1) krzyżyk o jednej połowie tylko, z bronzu, o ładnej rzeźbie, w środku Matka Boska a na rogach krzyża 3 apostołów — długi na 10 cm., a szeroki 6 cm.;

2) krzemienna piłeczka, mająca kilka tysięcy lat, bardzo dobrze zachowana, długa na 8 cm., szeroka na 2 cm.;

3) odłamek krzyżowy marmuru;

4) kawałeczki ze szkła z dawnych obrączek, które na ręce lub ramiona zakładano;

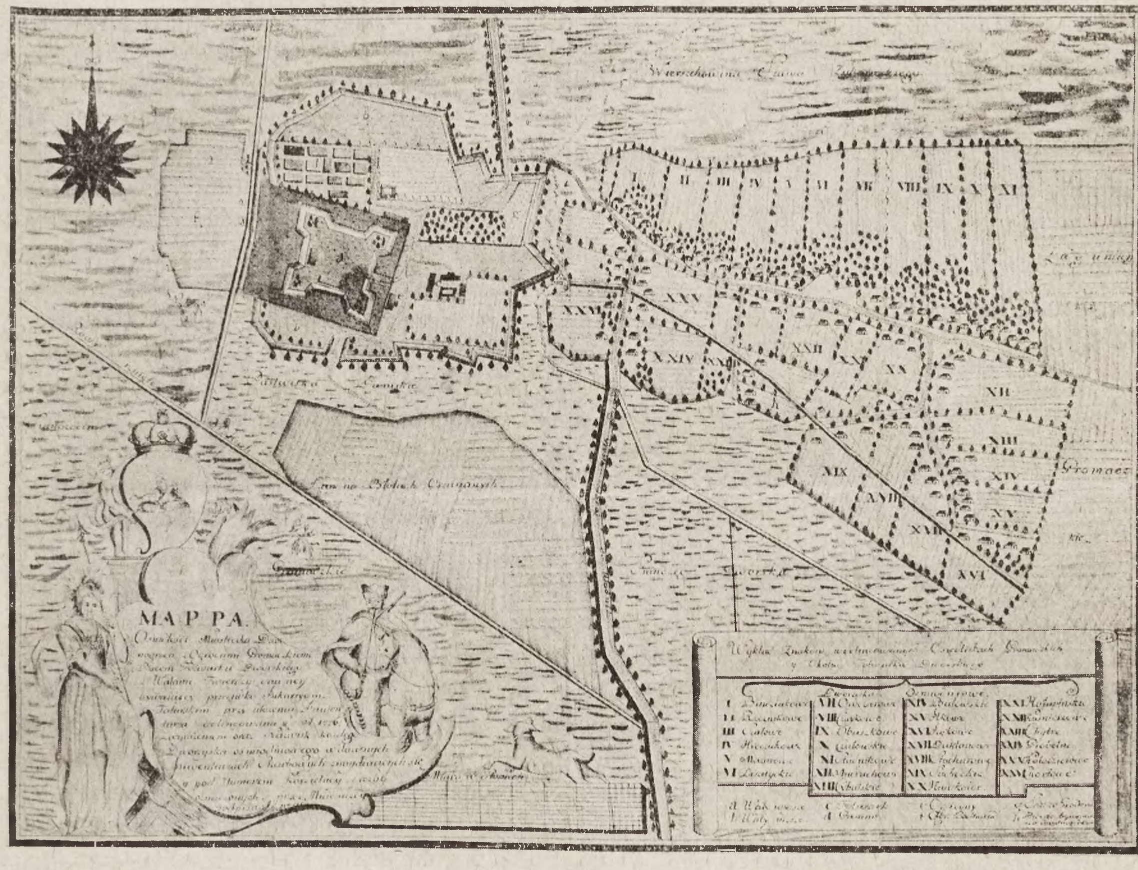
5) śliczny kamienny krzyżyk do noszenia na szyi, bardzo dobrze zachowany;

6) kilka srebrnych monet polskich, jak n. p. z czasów Zygmunta III. z napisem „Solidus.“; Stanisława Augusta z napisem: 2 Grosze
CLX. Ex
Marca
Pura. Col.
1766.
F. S.

a to tem ciekawsze jest, że w r. 1705 Koszczakowski zwie Dźwinogród „Grodem“ a profesor Hruszewski na str. 15. w swej pracy twierdzi, że nie może wskazać na to, czy to tylko stara tradycja o dawnem znaczeniu, czy rzeczywiście był on dawniej miasteczkiem.

Tę sprawę stanowczo rozstrzyga reprodukowana poniżej mapa miasta Dźwinogrodu.

Wały zamku, których rysunek podaje reprodukcja, dziś ledwie znaczne, pochodzą z r. 1716.



MAPA DŹWINOGRODU Z R. 1766.

7) srebrny pieniądz turecki. Oryginalnością jest też, że znalezione były tu i monety rzymskie, jak to opisuje p. Hruszewski. To są wiadome i dziś uratowane dowody dawnego życia, a kto wie, ile ich zginęło i zniszczało?

Jak mi opowiadano, to jeszcze przed kilku laty była jakaś pisana starocerkiewnym językiem kronika dużych rozmiarów w ręku jednego z gospodarzy tamtejszych — z czasów książąt ruskich, która z. r. miała uledz zniszczeniu, ponieważ gospodyni podarła karty do pieczywa na święta.

Kwestję sporną co do Dźwinogrodu posuwa naprzód podana przez nas mapa miasta Dźwinogrodu z r. 1766, o której wspomnieliśmy w Nr. 1. „Tygodnia“ r. b. Mamy dwie mapy, miasta i wsi, Zamek zbudowany był wówczas z polecenia Adama Sieniawskiego, przez inżyniera Kampenhajzena; dziś stoi tam pański dwór. Plan zamczyska podał Ilnicki, uważał go bowiem za „stary gród“, który tu miał ongiś stać.

Z historycznych wspomnień zasługuje na uwagę pochód z r. 1144, w którym to roku miała być bitwa tu stoczoną.

Ze zmianą wojennych narzędzi nie przedstawiał Dźwinogród żadnego odpowiedniego miejsca obronnego, to też musiała zniknąć jego historyczna misja, musiał on ustąpić miejsca nowemu grodowi, który wkrótce staje się ogniskiem Rusi halickiej, założonemu przez ks. ruskiego Danyłę — Lwowowi.

JÓZEF JEDLICZ.

Gdy ją rzuciłem...

Gdy ją rzuciłem na wieki
I odjeżdżałem w daleki
Świt — —

W gwiazdach, co lśniły w pomroczy,
Widziałem śniące jej oczy
W łzach...

Przy błędnem śnieniu księżyca
Widziałem białe jej lica
W snach...

W ciemnem wezgłowiu niebiosów
Widziałem jedwab jej włosów
W mgłach...

W brzasku, gdym spojrzał bezsenny,
Żarzył się krwią jej płomienny
Świt — — —

JANINA BAUDOUIN DE COURTENAY. 5)

„Towarzyszka“ śmierci.

(Z CHWIL REWOLUCYJNYCH.)

(Ciąg dalszy.)

Nagle jakiś zgrzyt przykry, fałszywy w tym zgodnym akordzie — zgrzyt zatrutego sztyletu, rani pierś niewinną, bezbronną, miłującą. W powietrzu falują już krwawe widma St.-Juste'ów i Robespierre'ów.

Ten Antinous na mównicy z rysami młodego boga, w wieńcu bogatych kędziorów, z ledwie zasiewającym się wąsem nad prześlicznemi dumnemi ustami — zdaje się być dziecięciem z ciała i ducha pięknego krwiożercy francuskiego. I jeśli nie nawołuje wprost i otwarcie do cielesnego przelewu krwi — duchowo wbija siedem mieczy w łona tych, którym winien cześć tylko i miłość!

— Powiadam wam: precz z tą ,,szlachetną, bratnią“, walczącą dla nas niby inteligencją! Nie trzeba już nam jej ckliwej, hypokrytycznej i pozującej pomocy i opieki! Proletarjat nasz nietylko wyrósł nareszcie, lecz zdążył już przeróść swych nieproszonych instruktorów! Nie wierzcie tym szlachetnym niby przyjaciołom-ziemianom i temu nawet, którego trumnę przed chwilą zaledwie zatopiliście wieńcami! Oni sprzedadzą nas, jak sprzedawali niby braci swoich ich francuscy poprzednicy! My poginiemy na barykadach za wszechwolność rosyjską, lecz oni dla siebie ją pochwycą, a pozostałym z nas cisną wtedy okruszyny ze stołu bogacza! Cóż zdążył wywalczyć dla siebie proletarjat francuski po wielkiej rewolucji i po sześcioleciu walki parlamentarnej?! Cały dzień pracy — i życie posługacza u zamożnych państwa. Obiegłem cały zachód, zgłębiłem życie robotniczego ludu — i oto ujrzałem z przerażeniem, że nigdzie proletarjat nie jest jeszcze zwycięzcą, że wszędzie on sprzedany i podle oszukany! Ale my, robotnicy rosyjscy, my, ci najmłodsi i niespożyci, niewyczerpani jeszcze walką pożniemy plon doświadczenia naszych zgnębionych towarzyszy — wyprzedzimy ich! I rzucimy się naprzód z taką siłą, na którą oni nigdy się zdobyć nie mogli! Godziną skrócenia pracy, parugroszowym dodatkiem, kasami chorych etc. nikt się nas nie pozbędzie!

Precz z tymi, co walcząc w naszej arjergardzie, zdobywają szersze swobody i przywileje dla siebie tylko, a nam potem rzucą jakąś kurję wyborczą i kulturalne bagatele! Za naszą krew — dadzą nam kość ogryzioną! U nas moc i siła! Bo za naszemi paru miljonami — staną dziesiątki miljonów ojców i braci naszych — chłopów, mniej skłonnych, niż my, ludzie miejscy, do przebierania w środkach! My, młodzi, nie chcemy zwycięstw, rozłożonych na lat dziesiątki! Dzisiaj żyć chcemy pełnią życia! My, samouki, lub całkiem ciemni, pragniemy światła i wiedzy, którą dla siebie tylko zagarnęli oni! My, głodni i znękani, chcemy skosztować rozkoszy życia, rozkoszy wypoczynku, znanych dotychczas im tylko, uzurpatorom! Dzieciństwo nasze więdnie u progu przedwczesnej młodości — młodość nasza jest tylko dogorywaniem! Zepchnijmy więc tych „przyjaciół naszych“ z ich piedestałów na równy, wspólny grunt! I jeśli ginąć mamy, to gińmy razem, a jeśli żyć, to podzieliwszy po „bratersku“ pracę fizyczną i umysłową, radości i smutki życia! Jeśli zaś równość na ziemi utopją jest tylko, to raczej my stańmy na przedzie z koleji, my stańmy z koleji na wzniesieniu nad nimi, a oni niech odrabiają pańszczyznę swoją w nizinach! Mówicie: „precz z egoizmem kapitału, precz z wielką własnością ziemską“ — a ja dodaję: precz z ,,arystokratami ducha“, głoszącymi piękne słowa, nie ruszając się ze swych

wzniesionych katedr. Tak, wybiła już godzina całkowitej zmiany ustroju społecznego i stosunku klas, raczej same klasy zniesione będą, jak owe lasy obywatelskie, wyrębywane przez naszą wiejską „dzicz!“ Wykarczują się wszelkie korzenie zła i czyste, równe pole rozdzieli się pomiędzy równych ludzi. A kto nam nie ustąpi z dobrej woli, tego sprzątniemy bez ceremonji z naszej wielkiej drogi! Tymczasem zadawajmy śmierć moralną podstępnym quasi-przyjaciołom naszym, jeśli nie starczy nam jeszcze mocy Brutusa dla tych zamaskowanych Cezarów!...

Przy mównicy ruch. Ktoś prosi o krótką odpowiedź bez względu na kolej głosów. Prezydjum pośredniczy — zgoda.

Wchodzi na katedrę jedna z młodych gospodyń wiecu. Ściągła, blada twarz, oczy boleśne i groźne zarazem, te oczy rannej gazeli, pełne zabójczego wyrzutu...

— Przed chwilą padły stąd ciosy tak ślepe, ciemne i okrutne, jak owe dzikie siły, pokładające dziś trupem lasy — jutro tak samo może ludzi! Mają też one i zgrzyt fałszywy zatrutego sztyletu. Ten, który je wymówił, zbadał i wschód i zachód, a jednak sam pozostał ślepym, nie dojrzawszy siły twórczej współczucia i współcierpienia z innymi i za innych. Ból ów szlachetny, rodzący wszędzie największe i najtrudniejsze ofiary, sprowadził niegdyś kwiat arystokracji rosyjskiej z pałaców do kazematów i kopalni, oddał głowy pod szubienice — teraz zaś prawnuka jej, którego świeży grób okryliście wieńcami, oddał też śmierci na samym przedzie walki! Ona jedyna tylko, szczupła, sieroca, osamotniona inteligencja rosyjska, dzieci i wnuki dekabrystów z ducha — przez długie lat dziesiątki niosła martyrologię czynu i poświęcenia, o tak „wzniesiona wysoko“ na rusztowaniu samotnem po nad tłum ciemny, naigrawający się nad nią! I cóż, prócz tego wzniosłego bólu, ciska wszechmocnie w wasz rozgorzały tłum bojujące zastępy samozwańczego „proletarjatu“ teraźniejszej młodej inteligencji! Czyż nie widzicie na każdym kroku w swoich szeregach, jak ci „bogacze“ i „zamaskowani Cezarowie“ palą do reszty swe ciała i dusze na ołtarzu ofiarnym służenia narodowi? Ogromne, wrogie, odwieczne moce otaczają ich zewsząd: chytry i podły rząd, staczający ostatnią walkę rozpaczliwą, ciemnia wiejskich miljonów, przekleństwa głodnego proletarjatu, posądzającego ich wciąż o egoizm i zdradę — wreszcie zwarty obóz partji nieprzyjacielskich z ich własnej sfery społecznej — tych właśnie prawdziwych bogaczy przy stole uczt, tych epikurejczyków i egoistów. Mieszczaństwo, kapitalizm, przywileje wszelkiego rodzaju — nie ustępują ani piędzi ze swego terytorjum. Przeczuwane komuny, białe i czerwone terory każą drżeć zawczasu klasom oświeconym i możnym, a jednak ci możni ci „wysoko“ urodzeni, nie wahają się iść na bój z całą kastą własną, narażając na niechybny szwank i przywileje swoje! Oni wraz z wami, choć nieraz inaczej, dążą do zbudowania głównego fundamentu swobody. Stanąwszy na nim dopiero, wolny już naród pocznie sam rosnąć w górę! Otwórzcie oczy i serca na ból ich najwznioślejszy, na pracę mądrą i szlachetną! Nie słuchajcie fałszywych proroków! Nawet w tej chwili bojów bądźcie sprawiedliwymi dla tych, co się wśród was nie urodzili!...

Głośne oklaski, lecz jeszcze głośniejszy gadzinowy gwizd. Okrzyki uznania i protestu.

— Oto maska z nich spada! Chodzi im o carat z bladem widmem burżuazyjnej konstytucji! To właśnie jest głos fałszywej prorokini! — woła mówca poprzedni u stóp katedry.

— Narzędzie nędznego służalca Hapona, bijącego korne pokłony o czarny kęs chleba! — oskarża inny głos gdzieś w głębi tłumu.

— Chwała pamięci Trubeckiego! Chwała jego partji! Niech żyją pozostali bojownicy! Wiwat im, budującym stopnie do republiki naszej! To robotnicy rozdroża, dźwigający najcięższe bryły! Czołem przed nimi!

— Precz z konstytucją i dumą! Konstytuanta republiki! Konstytuanty żądamy!

— Drogę delegatom od robotników z południa!

Przemawia robotnik z Charkowa.

„Robotnik“ ten w szarym kubraku i granatowej bluzie robotniczej — niema jednak ani twarzy, ani wzięcia się robotnika. Ale gdy podczas mowy dają się słyszeć gwary wśród publiczności: „samozwaniec! Przebrany agitator!“ — znani towarzysze-robotnicy z tej samej delegacji odrzucają z gniewnem oburzeniem:

— Robotnik to nasz najprawdziwszy! Pracuje z nami na fabryce od rana do nocy, mieszka, jada i sypia wraz z nami — nasz jest niewątpliwie duszą całą!

Rozwija on przed słuchaczami, szkicując krwią, zda się, zamiast węgla — jaskrawy obraz walki południa, o tyle bogatszej w wypadki tragiczne, w siłę napięcia — o ile niebo południowe bogactwem barw swoich zaćmiewa kopułę stalową północy. Gorący też, „południowy“ protest zakańcza mowę jego.

— Nawałnica dziejowa wstrząśnie całą Rosją i zmiażdży wszystko na swojej drodze. Ale nowa siła zwycięska wybuchnie z katastrofy i zapanuje nad nowym światem. Jakaż to będzie siła?!...

Straszno zajrzeć po za tę zasłonę z krwi i mroku! O cisi bohaterzy głodu samobójczego — nie stańcie się wtedy katami! Nie równajcie ścieżek przed dyktatorem — tyranem — czy byłby on z waszego rodu, czy też ze zgrai pałacowej! Nie wołajcie z łona mas ciemnych — ciemnych Razinów czy Pugaczewów! Niech żyje nasza republika socjalno-demokratyczna w bliskiej przyszłości, lecz przed nią jeszcze niech żyje szeroka konstytucja, która ją zrodzi niechybnie! Niech żyją wszyscy wybrani przez cały wolny naród przez równe, powszechne, bezpośrednie głosowanie! Niech żyje wszechrosyjska i wszechnarodowa, lecz nie partyjna swoboda!

I znowu gromy oklasków i wichry gwizdań. Delegat z południa schodzi z mównicy i wziąwszy dłoń bladej, drżącej dziewczyny, prowadzi ją przez tłum, przed chwilą jeszcze zwarty nieprzebytym murem, teraz już rozkołysany, rozluźniony, bo oto prezydjum ogłasza przerwę — i jakieś głosy wołają:

— Towarzysze kolejowcy — do pierwszego audytorjum! Socjal-rewolucjoniści do czwartego! Towarzysze zecerzy do drugiego! Uczniowie szkół średnich do szóstego! Telegrafiści do piątego!

I jeszcze, jeszcze przeróżni „towarzysze“ zapraszają się do różnych sal. Ale i w auli szerokie fale ruchu przewalają się w dalszym ciągu. Publiczność płynie szerszymi i węższymi strumieniami w kilku kierunkach, próżnie zapełniają się natychmiast świeżymi potokami, wzbierającymi z ulicy. Oczy wszystkich zatrzymują się dłużej i serdeczniej na spojonych łańcuchach młodzieńców i wyrostków gimnazjastów z młodocianymi robotnikami. Słuchali oni przemówień, wziąwszy się pod ręce i śpiewali razem pieśni rewolucyjne.

— My zawsze będziemy razem z wami, ale dzisiaj związek nasz ma debatować nad naszą organizacją walki, nad formą protestu przeciw tyranji szkolnej.

Czternastoletni częstokroć „przedstawiciel proletarjatu“ z czternastoletnim „inteligentem“ z błyszczącemi radością, zawsze tylko dziecinną radością, oczami (oni jeszcze przecież nie widzieli krwi, tylko słyszeli o niej) ściskają się kordjalnie za ręce.

— Do widzenia niezadługo, towarzyszu — na przyszłym wiecu naszym!

„Robotnik z południa“ szepce tymczasem do ucha bladej dziewczynie, wspartej na jego ramieniu:

— To rzeka — to Wołga nasza duchowa burzy się, łamie lody na wiosnę, wiry jej wrą w straszliwem kołowaniu, nurty spienione rzucają się w różnych kierunkach. Ależ to szczęsne zapasy wiosny, droga moja! Wiosny zwycięskiej i pięknej zawsze w końcu! Pamiętasz owe wody kipiące na obrazie Riepina? Ty i ja stoimy tam wśród wirów i kry! To nie krwawa śmiertelna zmora nasza w Mandżurji, lecz szczęście zmartwychwstania czy odrodzenia.

IV.

Wielka brama żelazna dworca kolejowego, niby fortecy nieprzystępnej, wciąż jeszcze zamknięta, — i Tamarze się zdaje, że po to tylko zawarła się ona, aby tysiące nieszczęsnych rozbijało o nią głowy w rozpaczliwej niemocy.

Tylko ta jakaś ciemna i wąska boczna furta, jak gdyby przeznaczona dla tajnych spiskowców, otwiera się i zamyka od czasu do czasu, wpuszczając i wypuszczając w niezwykłem świetle latarek mroczne cienie ludzkie. Mała owa furta otwarta — kłamie, wielka zaś brama zamknięta — prawdę głosi, gdyż jest symbolem wszelkich zamkniętych dróg — we wszelkie świata strony.

Tylko złe wieści żartują sobie z zapór wszelkich, telegramy, lecąc powietrzem, zatruwają i krwawią powietrze — i niezliczone serca.

Tamara przeciska się wreszcie przez tę szczelinę tajemniczą na jakieś ciemne podwórze — plac, potem do innych wąskich drzwi z zaledwie migocącą latarnią, potem do jakiejś mrocznej hali. Dalej już iść nie wolno. Tu musi czekać ta grupa ludzi, podobnych do spiskowców.

Osuwa się na ławę pod oknem, przez które widać część peronu, a dalej w świetle niezwykłem stłoczone lokomotywy i wagony. I jak te czarne, zmartwiałe masy pociągów tłoczą się jedne przy drugich w dzikim bezładzie, tak i jej myśli-rozbitki, zmiażdżone nagłym ciosem, skupiają się w najdzikszych kombinacjach — doniosłe z marnemi, ogniste z blademi i rozwiewnemi.

— „Ranny“ — a więc z pewnością konający.

To straszne południe, skąpane w falach żydowskiej krwi — z płomienną łuną zamiast niebios! I tam on — pomiędzy ogniem a krwią!

Dalej jeszcze, za tem południem — ojczyzna jej... cudne wizje błękitnych i granatowych i białych

chłodnych gór... jak dekoracja furji zaczarowanej, przesłonięta dziś „czerwoną kurtyną“, po za którą nic już nie widać, nic nie słychać, oprócz rzężenia śmierci i wycia tryumfujących hyjen!... Neron i Groźny zmartwychwstają chyba z radości i spieszą na tę orgję kolosalną.

(C. d. n.)

FRANCISZEK MIRANDOLA.

PERIHELIA.

(FRAGMENT II.)

ODA. Bracie skąd?
CZAR. Z rozstajnych ducha dróg,
Z górnych jazd...
Na trud, na krwawy trud
Ziemi wołałem zaśnionej w przedbrzasku.
Ze złud,
Ze złotego widzeń piasku
Zbuduję gród.
Za ród
I pokolenia śpiące
Pochodnie dzierżę płonące.
Za wód
Uśpienie odrętwiałe,
Za serca małe
W ciszy rozlane
Złud
Zorze mam karmić świetlane,
Wschód!
Za ród,
Co niemo się rozplenia
We wojsko złud.
Za lud,
Co czeka odkupienia
U wrót,
Spiżowych, objawienia,
Ponoszę krwawy trud.
Przez morze odrętwienia,
Przez cienie zapomnienia
Niosę cud.
ODA. Cud?
ŻYWIA. To tęsknot w piersiach wycie.
MAMON. Nowy, bezbrzeżny trud...
CZAR. To Życie!
ODA. Dzień w rozkwicie,
To jęk z podziemi życia,
Szmer duszy rozpowicia,
To hasło dni przełomu,
Przeczucie jasne gromu,
To łkanie do przyszłości,
To dróg...
Nieznanych ku jasności
Smug.
CHÓR (z oddali).
Zamierających zbór
Idziemy w straszną dal,
Nad nami sępów chór
A przodem stąpa żal.
Na wał położym ciała,
Na cieniów długi wał,
Aby noc wieczna trwała
I w cieniu człowiek spał.
Niech wał oblegnie ziemię,
Okrąży wzrok człowieka,
Niech drzemie,
Choć Jutro czeka.
ŻYWIA (do Mamona).
Niech drzemie!
Dajęć ziemię.
ON. Rzeka
Oddziela mię już tylko od tych ciemnych borów
Noc jasna, połyskiwań pełna i kolorów;
Za mną, przebyte bole w czarny wał się zbiły
I legły kędyś krajem nieba jak mogiły,
Gdzie Wczoraj otulone w szary łachman leży.
Wczoraj... a brzask podnosi we mnie głowę... [wierzy,
Kiedy na zmięte patrzę przeminione formy,
Że na dnie rzeczy leżą niewidzialne normy
I niewidzialne wcale wahają się wiecznie
Gdzieś wysoko, wysoko, gdzie myśl nie doleci,
Skąd się wieczysta cicho wije nić stuleci,
...I światom wymierzają ślepo, niedorzecznie,
Bezmyślnie, racje wzlotów i upadków działy...
Jak gdyby stały
U skarbca wszechistności szafujące duchy,
I wydzielały wiekom i globom brzemiona...
Widzę cię, Życie! Jako harfam dzisiaj Endymiona,
Słyszę szelest świetlanych księżyca promieni,
Gdy idą przez przepaści nicości ku ziemi,
Tak, schwytam je dłońmi temi!
I słyszę, kiedy ziemia ranny pacierz śpiewa
I zmarłe sny wczorajsze kładą się pod ziemię,
Jak się ogromne lice Przeznaczenia mieni,
Jak chytrze morze zmywa brzegów ściany skalne!

Chwytam cię w piersi, Życie, jasne, niewidzialne,
A ciemne tam, gdzie nad wszech ułud brzegiem,
Ja... ten kościół za mgłami otwarty
Na oścież dla nieskorych przybytek pielgrzymów.
Ach! byle tęsknocie nie popętać skrzydeł,
Weźmie, weźmie, poniesie...
Gdzie nie sięga
Żadna na wszystkich słońcach żyjąca potęga,
Gdzie za wałem z prochów i mamideł
Rozwarta przeznaczeń księga.
Jeżeli choćby trupem tam dopłynę,
Wstanę...
Byle tęsknot nie oplotły gady...
Muszę, muszę w tę krainę,
Gdzie czekają ludzkich serc gromady!
Obiecałem; przebywszy lotnych mgieł równinę,
Że... w łodzi i z gwiazdą zawinę.
Obiecałem memu sercu, że pęknie,
Nim się trudów i ciemni przelęknie
I bezmiłośne zemrze i sine...
Obiecałem... płynę,
Cierpię, mrę i płynę...
Idę, idę, rękami rozdzieram mgły szare,
Co otulają głowę zimnem, ciężkiem tchnieniem.
CZAR. Jestem drżeniem
Twego serca, co się szamoce,
Gdy w długie cierpisz noce
I rozsuwam przed słońcem mgły...
ON. Widzenie?
CZAR. Rozpędzam cienie
I błyskawicowym ruchem
Wiję się nad twoim duchem,
Okrążam i skupiam pytania.
ON. Niedoścignione kłęby złud!
CZAR. Dusza się słania od męki,
Ale ci daję do ręki
Berło...
ON. Cud?
CZAR. Cudem promieni
Pustka się mieni...
ON. ... i wstają Jutra świty?
CZAR. Jam ów, co wczoraj zabity
I codzień zabijany,
Gdy gasną dusz zachwyty,
Gdy w niesforne pęka szumy
Hymn ciszy. Jam treść zadumy.
Jam ten, co się jak błyskawica
Z nicości wypromienia...
I jeśli się nie zlękniesz w dal rozpostrzeć skrzydeł
I za ten wał wzlecieć szary,
Pokażę ci czary
Złożone na dnie Sumienia —
Jam ten, co gdzieś dawnymi czasy
Tęsknił i ukrzyżowany;
Dziś, Jutrem ziemi pijany,
Kładę się nisko na ziemi
I tętnienie świtów słyszę
I przyszłych ukojeń ciszę
I pożarów pod popiołem
Strzegę od zalewu wód...
Podjąłem za ciebie trud,
Bo nadzieje przyszłych łun...
ON. Podjąłeś ten za mnie trud?
Ale idzie fala wód
A nie dałeś złotych harf,
Druidów nie znam piosenki...
Widzę, widzę wojsko larw,
Nowe klęski idą w bród
Poprzez morza, marzeń morza
A nie dałeś złotych harf,
By w nich grała ręka boża!
Próżno w świt wyciągam ręce!
Na czem grać, gdzie złote struny?
Nie wiem, przy jakiej piosence
Przyjdę... konam, konam w męce...
Gdzież me łzy... mówiłeś ciemno
I językiem marnych złud...
CZAR. Odejdź ze mną, odejdź ze mną!
ON. Nie wielki podjąłeś trud...
Chronisz zórz, co tlą w iskierce,
Ale idą fale wód...
Daremny, daremny trud...
CZAR. Nie bluźnij, prochu! Jam Serce!

Bolesław Limanowski: „Rozwój przekonań demokratycznych w narodzie polskim“.

W r. 1733 pojawia się „Głos wolny, wolność ubezpieczający“ St. Leszczyńskiego. W dziełku tem, w rozdziale p. t. „Plebei“ postawiono po raz pierwszy na porządku dziennym kwestję włościańską jako warunek wzmocnienia i ubezpieczenia Rzptlej. Owa też kwestja staje się punktem zaczepienia pierwszej fazy procesów demokratyzacji. Zrazu zostawiana na uboczu, zwolna przybiera na znaczeniu i występuje u celniejszych reformistów naszych XVIII. w. jako nieodłączna troska w dążnościach ku naprawie pań-

stwa polskiego. Świadczy o tem Konstytucja majowa. Autor doceniając znaczenie 3-go maja i uznając Konstytucję majową za punkt zwrotny w dziejach naszego narodu, nie widzi w niej jednak testamentu politycznego i twierdzi, że „był nim raczej uniwersał Połaniecki Kościuszki“. „Był to program polityczny, który następni demokraci pogłębiali i uzupełniali“.

Rzplta uległa rozbiciu, nadchodzi epoka legionów a z nią inna faza demokratyzacji przekonań i inne sploty kwestji włościańskiej ze sprawą niepodległości narodowej. „Legjony organizowane pod sztandarami rewolucyjnymi... były nie tylko wielką szkołą republikańską, która posuwała naprzód sprawę społecznego przeobrażenia się narodu, ale dzięki legjonom... odzyskaliśmy byt polityczny i własne wojsko“.

„Księstwo Warszawskie otrzymało ważne cywilizacyjne i demokratyczne nabytki: zniesienie poddaństwa i kodeks napoleoński“.

„Konstytucja nadana Księstwu była mniej liberalna od Konstytucji 3-go maja, była bardziej demokratyczna“. „Sejm, mający 40 przedstawicieli stanu nieszlacheckiego na ogólną liczbę 100 posłów, w znacznej mierze tracił dawny swój szlachecki charakter“. Również zniesienie poddaństwa, acz bez uwłaszczenia, nie było rozwiązaniem sprawy włościańskiej, stanowiło znaczny krok naprzód. Królestwo Polskie i rewolucja 1830 r. klęską nadziei zamyka drugi okres myśli demokratycznej.

„Na emigracji uświadomiła się i skrystalizowała polska myśl demokratyczna“ — „Zadaniem życia i pracy demokratów stało się — wyzwolenie, oświecenie i wyniesienie na dostojeństwo obywatelskie ludu“.

Wyprawa Zaliwskiego i jej bankructwo, skierowało demokratów z drogi haseł na drogę codziennej ustawicznej pracy organizacyjnej i oświatowej wśród ludu. „Wypadki rewolucyjne 1848 r. w Poznańskiem i Galicji pokazały, że praca demokratów naszych, znojna, męczeńska, często krwawa, nie poszła na marne“. Jeśli rok 48. nie dał nam tych zysków, jakieby mógł przynieść — twierdzi Lim. — to dlatego, że rewolucja 31-go roku, zamało była rewolucyjna i nie ogłosiwszy zniesienia pańszczyzny i poddaństwa nie przygotowała dla przyszłych działań gruntu mocnego.

Towarzystwo demokratyczne na emigracji odrobić tego już nie było w stanie, jednakże przygotowało ono wpływem swoim r. 1863.

„Zespolenie sprawy włościańskiej ze sprawą narodową w powstaniu 63 r. było wynikiem wpływu emigracji“, — i w tem polega, zdaniem autora, znaczenie 63 roku. „Ogłaszając w manifeście 22. stycznia wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary, rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju“ — obalało istniejącą między włościanami a szlachtą przegrodę, która przeszkadzała wytwarzaniu się jedności narodowej“. „Nie waham się powiedzieć, że dzięki rozwiązaniu kwestji włościańskiej naród nasz pomimo poniesionych klęsk ma dzisiaj więcej w sobie siły i zadatków na niepodległą przyszłość, aniżeli przed r. 1863“.

Z r. 63-cim uważa autor jedną wielką epokę w rozwoju demokratycznym naszego narodu za przesiloną, kwestję włościańską za rozwiązaną i dalszą drogę postępu widzi jedynie w ideach socjalistycznych. One mają być wszech-lekarstwem w niedomogach ludzkości i one wywieść nas mają z ziemi ucisku i niewoli narodowej oraz społecznej. Uzasadnieniem tego kończy się broszurka p. Limanowskiego.

Niepodobna nam się zgodzić, z końcowymi wywodami Szanownego autora, raz dla tego, że kwestja agrarna bynajmniej zniesieniem pańszczyzny rozwiązaną nie została i nastręcza i nastręczać będzie jeszcze mnóstwo szkopułów — to przynajmniej — a powtóre, że właśnie droga załatwiania kwestji agrarnej otwiera zgoła odmienne niż socjalizm horyzonty przeobrażania się ustroju społecznego.

Jest to rzecz wiadoma — wobec czego nie należało Szanownemu autorowi zbyć ją autorytetem Marksa, że demokracja agrarna z rokiem 1863-cim spełniła swoje zadanie i skończyła dni swoje.

Ponadto dziwnem się wydaje doprowadzenie sprawy tylko do r. 63-go, a potem tylko ukazanie ogólnikowe socjalizmu. Upłynęło przecież lat z górą 40 — w ewolucji i różniczkowaniu się naszej demokracji zaszły komplikacje i symptoma jawne, nawet jaskrawe, więc jakże badaczowi społecznemu wolno o nich zamilczeć? Snać socjalizm tak wyłącznie przykuł uwagę uczonego autora, że tylko to jedno zjawisko spostrzega i że potrącę tu o drobnostkę nawet „w poglądach i myślach Staszica — odczuwa — zaczyn socjalistyczny“?

Poza tem broszurka pisana jest rzeczowo i daje zwięzły przegląd i najogólniejszy zarys myśli demokratycznej polskiej do r. 1863.

Ad. Z.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Bolesław Gorczyński: Policzek. Fragment dramatyczny w jednej odsłonie. Warszawa. Nakł. i druk. M. Arcta („Książki dla wszystkich“). „Istnieje pewien typ ludzi, o których się mówi zazwyczaj: „oto maniacy“. Ci ludzie ukochali coś do szaleństwa, żyją jedną myślą, jednem pragnieniem — i stąd ich „maniactwo“. Można się z nich śmiać, ale nie trzeba“. Oto motto, które właściwie jest i treścią dramatu. „Maniakiem“ jest rzeźbiarz Grodzki, który rzeźbi syntezę swej nienawiści, syntezę ludzkich fałszów, nikczemności, podłostek, kłamstw i wszystkich nieprawości, z których składa się człowiek dzisiejszy — ot! n. p. „bądź co bądź porządny“ p. Cedrowicz, mecenas — rzeźbi w tym celu, by ostatecznie znienawidzone dzieło spoliczkować. Ale właśnie, gdy w czyn ma wejść zamiar, wchodzi do pokoju artysty mecenas p. Cedrowicz i — syntezę nienawiści artysty ratuje od zniweczenia; kupuje rzeźbę — „wkłada Grodzkiemu w rękę jeden banknot za drugim“. Dwaj pachołkowie wchodzą i „biorą ostrożnie na ręce ukochaną ideę Grodzkiego i unoszą ją. W ślad za nią podąża Grodzki z policzkiem w ręce“. Tu byłby koniec. Ale autor dopisuje: „Dziś, po latach wielu, Grodzki jest już „znakomitym rzeźbiarzem“. Ma dużo pieniędzy, ubiera się à la mode i nie jest już „maniakiem“. Trzeba by się śmiać z niego, ale.. nie można“ — Fragment napisany żywo i barwnie, choć wątpię, czy idea jego ujawniłaby się na scenie tak plastycznie, jak w czytaniu. Uważam raczej „Policzek“ p. Gorczyńskiego za udramatyzowaną, zręczną nowelę; zalety w takim razie jeszcze większe. *Fel. Gw.*

Marya Rodziewiczówna. Ragnarök. Powieść współczesna 1906. Lwów. Księgarnia narodowa. Rozważając książkę z czysto powieściowych względów jest to właściwie ustęp bjografji Romana Niemirycza, gdzie pokazano: jak stawiał pod pręgierz występki społeczeństwa, więc został przez nie za stosowanie słów ewangelji uznany bluźniercą i ateistą, jak pokochał śpiewaczkę — przez nią został pokochany, a życie stanęło w poprzek; jak urabiał na człowieka i obywatela młodego ordynata i jak to w niwecz poszło; jak wreszcie patrzał na śmierć świętego księdza Michała, zadaną ręką tych, którym ów święty oddał wszystko poświęcenie swoje. Aż uwierzył Niemirycz, że nadchodzi „Ragnarök“. Ragnarök zaś według podania skandynawskiego to „straszna noc idei i wiar i sił“. Wtedy bogi i ludzie, pojęcia i zasady, zbrodnie i cnoty — w nicość zapadną. I muszą, bo .. „fałsz przeżarł, jak rdza fundamenty ludzkich wiar i uczuć i czynów“. Taka jest barwa zasadnicza tła i taki punkt wyjścia dla problemu społeczno-etycznego powieści, zakończonej pesymistyczną pointą. Jak wiadomo, autorka nie lubi wyższej matematyki ani w dziedzinie psychologji, ani na polu zagadnień społecznych, etycznych itd., sprowadza je najchętniej na teren czterech działań. Też postacie w tej książce, jak i w innych tak samo szablonowo-szlachetne, czyste, dobre, bohaterskie lub szablonowo mało warte. Najlepiej wypada postać ks. Michała ewangelicznego chrześcijanina, podporządkowanego całkowicie idei miłości bliźniego.

Właśnie wskutek tej jedności motywu psychologicznego dość dobrze mieści się ta postać w uproszczonej metodzie charakterów Rodz. Na ogół: brak pretensji, prostość linji kreślonych z szerokim rozmachem; styl łatwy i potoczysty zapewniają książce omawianej poczytność w bardzo szerokich kołach publiczności. *Ad. Z.*

Krasiński Zygmunt: Irydion. Přeložil František Kvapil. Sbornik světové poesie. Vydává česká Akademie Cisare Františka Josefa pro vedy, slovesnost a umeni Čislo 88. V Praze. Nakladatelstvi J. Otty. 1905. 8-vo st. 367.

W znanem wydawnictwie czeskiem: Sbornik svetové poesie, w którem pojawiło się dotąd kilka przekładów języka polskiego, jakoto Mickiewicza Konrad Wallenrod w przekładzie J. V. Sládka (nr. 2), Dziady w przekładzie J. Vrchlickiego (nr. 41), Słowackiego Balladyna i Lilla Weneda w tłumaczeniu O. Mokrego (nr. 21 i 44), Asnyka poezje w tłumaczeniu F. Kvapila (nr. 11) i Kiejstut w tłumaczeniu F. Vondráczka (nr. 51), Konopnickiej Wybór poezji w tłumaczeniu F. J. Pavliszta (nr. 55), ukazał się świeżo przekład Irydiona, dokonany przez F. Kvapila; jest to już drugi przekład czeski Irydjona; pierwszy pióra J. V. Fricza z r. 1863 nie może już dziś zadawalać, stąd potrzeba nowego przekładu czeskiego była zupełnie uzasadniona. Tłumaczenie p. Kvapila czyni w zupełności zadość wymaganiom dobrego tłumaczenia, jest wierne, dokładne, oddaje też piękności oryginału. Przekład swój zaopatrzył tłumacz odpowiednim wstępem, w którym podał najważniejsze wiadomości o czasie napisania, genezie i znaczeniu Irydjona, opierając się na dotychczasowej literaturze. Za piękny przekład należy się wielkiemu wielbicielowi naszej poezji szczera wdzięczność.

Dr. Wiktor Hahn.

ZAPISKI.

O tekst manifestu. W czasie wybuchu rewolucji krakowskiej w r. 1846, o czem piszemy we wstępnym artykule, ogłoszono „Manifest rządu narodowego Rzeczypospolitej polskiej“, co do którego tekstu twierdzi historyk tych czasów Wawel Louis, że był dosłowną z pamięci podyktowaną przez Tyssowskiego kopją pierwotnego manifestu, ułożonego wspólnie przez przewódców rewolucji, że więc była jedna tylko jego redakcja. Wobec tego nazywa Wawel Louis twierdzenie Alcyaty, że pierwotny tekst odznaczający się „prostotą i uroczystością“ zastąpiony został innym — bezzasadnem. Tymczasem w rzeczywistości pierwotny tekst oparty na komunistycznej zasadzie wspólnego posiadania ziemi, został zmodyfikowany o tyle, że jako środek prowadzący do odrodzenia Polski wskazano „poruszenie ludu przez zniesienie przywilejów i nadanie bezwzględnej własności ziemi, dotąd przez włościan, tylko warunkowo posiadanej“.

Oba te odmienne teksty znalazły się też w druku.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.